

Tuszyński, Bogdan

Król reporterów : Jan Erdman (1906-1986)

Kwartalnik Historii Prasy Polskiej 28/2, 97-114

1989

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

BOGDAN TUSZYŃSKI (Warszawa)

KRÓL REPORTERÓW — JAN ERDMAN (1906—1986)*

O ile M. Strzeleckiego, J. Grabowskiego i S. Rotherta słusznie zaliczyć można do grona „oficerów sztabowych” międzywojennego „Przeglądu Sportowego”, o tyle Jan Erdman¹ był niewątpliwie „oficerem do specjalnych poruczeń” tego pisma w latach 1928—1939. Zbieg okoliczności sprawił, że ten niewątpliwie najzdolniejszy i najlepszy dziennikarz sportowy (obok Wiktora Junoszy Dąbrowskiego) był świadkiem i relacjonował największe przedwojenne wydarzenie sportowe, którym był na pewno zwycięski bieg Janusza Kusocińskiego podczas Igrzysk Olimpijskich w Los Angeles (1932).

Tak relacjonował Jan Erdman końcówkę biegu na 10 km:

„Dwudziesta czwarta i przedostatnia runda. Finowie licznie zgromadzeni na trybunach [był wśród nich również, zdyskwalifikowany tuż przed Igrzyskami Olimpijskimi, „król” długich dystansów Paavo Nurmi — B.T.] dopingują zbiorowymi

* Prezentujemy kolejną sylwetkę dziennikarza sportowego, tym razem w opracowaniu dr. B. Tuszyńskiego. Jest to konstrukcja złożona z licznie zgromadzonych materiałów, w tym informacji zawartych w korespondencji autora z J. Erdmanem, przygotowywana do książki poświęconej dziennikarzom sportowym. Sygnalizujemy kolejne opracowanie tego samego pióra o Wojciechu Trojanowskim (Red.).

¹ Jan Erdman (ur. 15 XII 1906 r. w Grobicach woj. warszawskie, zm. 5 X 1986 r. w Middlefield, stan Nowy Jork), syn Jana i Olgi ze Staszkieviczów. Ukończył gimnazjum humanistyczne (Warszawa) i Wydział Prawa UW. Od grudnia 1926 r. pracował w Polskiej Agencji Telegraficznej, sekretarz redakcji „Stadionu” (1927). Od 1928 r. w wydawnictwach „Domu Prasy”, m.in. kierownik działu sportowego „Expressu Porannego” (1932—1933), „Kuriera Czerwonego” (1934—1936) i współpracownik „Przeglądu Sportowego” (1928—1939). Specjalizował się w sporcie i reportażu ogólnym. Był m.in. sprawozdawcą z Igrzysk Olimpijskich w Los Angeles (1932) i kierownikiem kilkusobowej ekipy sprawozdawczej dzienników „Domu Prasy” z Igrzysk Olimpijskich w Berlinie (1936). Jednocześnie relacjonował wybory w Niemczech i dojście Hitlera do władzy (1933), plebiscyt w Zagłębiu Saary (1935), wojnę domową w Hiszpanii (1936), konferencję monachijską (1938), rozbiór Czechosłowacji (w marcu 1939 r. ostatnim samolotem poleciał do Pragi). Kilka tygodni przed wybuchem wojny objechał Trzecią Rzeszę (od Królewca poprzez Wiedeń do Berlina) i wykrył m.in. słowniki żołnierskie niemiecko-polskie, które były dowodem przygotowywanej przez hitlerowców agresji. W 1939 r. obrońca Warszawy (ochotnik w 10 dywizjonie artylerii przeciwlotniczej). W 1940 r. uciekł z Polski (Krynica, Słowacja, Budapeszt, Turcja), walczył w Brygadzie Karpackiej w obronie Tobruku (Krzyż Walecznych). W l. 1942—1943 attaché prasowy ambasady RP w Moskwie (Kujbyszew), redaktor ukazującego się w ZSRR dwutygodnika „Polska”, 1944—1945 — szef wydawnictw Polish Information Center w Nowym Jorku, redaktor dwutygodnika „Polish Facts and Figures”, 1945—1951 farmer (hodowla kur) i tkacz dywanów, 1951—1961 pracownik i kierownik sekcji polskiej „Głosu Ameryki”, 1962—1972 redaktor miesięcznika „Ameryka” (wyd. polskie, od 1959 r. kolportowane w Polsce), od 1972 emeryt. Autor książki *Droga do Ostrej Bramy* (1984), uznanej przez jury Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie (Londyn) za „najlepszą polską książkę wydaną poza krajem w tym roku”.

okrzykami Iso-Hollo. Z Polaków nie odzywa się nikt. Cała publiczność uniosła się z ławek i stojąc obserwuje walkę. Fin ciągle prowadzi tuż przed Kusocińskim. Naprężenie olbrzymie [...].

Kiedy obaj zawodnicy dochodzą do słupka metalowego, Kusociński rzuca okiem na tabliczkę wskazującą ilość rund do przebiegnięcia. Ostatnia.

Wyskoczył od razu jak z procy. Zrównał się z Finem. Biegną do krzywizny ramię obok ramienia, na wirażu z powrotem Iso-Hollo jest pierwszy.

Morderczy finisz trwa. Publiczność wyje. Nic już nie wiadomo, kto kogo podnieca i na kogo krzyczy. Tych pięćdziesiąt tysięcy ludzi rozkoszuje się wspaniałą walką, ale nie lokuje po żadnej stronie swoich sympatii.

Naprzód, naprzód! Z wirażu wychodzą na przedostatnią prostą. Kusociński na czele [...]. Znowu przed taśmą ogląda się po raz pierwszy, potem drugi, trzeci i piąty, żeby upewnić się, że Iso-Holla nie ma, że Iso-Hollo pobity [...].

Teraz »ceremonie protocolaire olympique«. Wszyscy wstają. Na niskim wzniesieniu w rodzaju schodów staje Kusociński, mając po lewej stronie Iso-Hollo, po prawej Virtanena.

Orkiestra gra z nerwem »Jeszcze Polska nie zginęła«. Melodię przerywają co chwila oklaski i okrzyki chóralne »Polska czołem«, zorganizowane przez kpt. Dobrowolskiego. Na tablicy ukazuje się wynik, na masztach polska i fińskie flagi. Po zakończeniu hymnu publiczność raz jeszcze darzy aktorów wspaniałego widowiska huraganem braw.

Kusocińskiego odprowadzają na bok, do dźwiękowego aparatu filmowego, gdzie wypowiada kilka słów [...].

Wychodzimy ze stadionu. Zaczepia mnie ktoś z drużyny:

— A widział pan, jak ta baba Didrikson rzuciła?

— Nie widziałem. Prawda, że odbyła się w międzyczasie ta konkurencja. Zupełnie nie zauważyłem.

Zresztą, co to kogokolwiek obchodzi, kiedy Kusociński został mistrzem olimpijskim

— Chodź-no, Kusy. Winszuję ci i całuję w imieniu swoim i »Przeglądu Sportowego«.

[...] Za chwilę w szatni Kusociński pokazuje nam swoje stopy. Palce pokryte pęcherzami nabrzmiałymi wodą, pięty odbite tak boleśnie, że dotknąć ich nie można. Lekarz, porucznik Bartenbach, bandażuje nogę i kręci mocno głową, a za chwilę zdradza tak bolesną dla sportu polskiego tajemnicę: mowy nie ma o bieganii, tydzień odpoczynku konieczny!"

W ten oto sposób przysły marzenia o zdobyciu przez „Kusego” drugiego medalu na 5 km i całkowitym przełamaniu hegemonii Finów.

Szybko jednak nadarza się okazja do rewanzu. Igrzyska w Los Angeles jeszcze trwają, a lekkoatleci już walczą w czasie poolimpijskich zawodów na stadionie Soldiers Field w Chicago. Jest tam naturalnie sprawozdawca wydawnictw „Domu Prasy” — Jan Erdman. Wietrzy sensację. Jest przekonany, że będzie miał materiał na pierwszą stronę „czerwoniaków”. I nie myli się. W biegu na 5 km mistrz olimpijski na tym dystansie, słynny Fin Lauri Lehtinen, tylko przez pięć okrążeń walczy z Kusocińskim i schodzi przed czasem z bieżni!!!

„Kusy” jest niewątpliwie najlepszym długodystansowcem świata!

Udana dla Polaków Olimpiada; w Paryżu (1924) — 27 miejsce, w Amsterdamie (1928) — 17 lokata, w Los Angeles (startowało 1408 zawodników z 37 państw) — 12, bardzo wysoka pozycja. Dwa złote medale — Kusocińskiego i Walasiewiczówny, jeden srebrny (wioślarze, dwójka ze sternikiem) i cztery brązowe (Wajsówna, szablisci oraz czwórka ze sternikiem i dwójka bez sternika) to godziwy dorobek biało-czerwonych za Oceanem. Teraz tę „radość i szczęście” trzeba było dowieźć do kraju. A droga krótka nie była. Pięć dni podróży pociągiem i trzynaście (!) spę-

dzonych na pokładzie „Pułaskiego” czekało olimpijczyków wracających z wyprawy po złote runo.

Na pokładzie jednego z najwolniejszych transatlantyków świata znajdował się oczywiście również Jan Erdman. Wspominał:

„[...] Było to w dniu, w którym zarządzono na statku alarm próbny. Położyłem się dość późno, po dłuższym bębnieniu w maszynę. Sen mam niezły, nie mogę się skarżyć.

Ale około godziny 4.30 rano... czy mnie słuch myli... syrena. Syrena alarmowa. Raz, drugi, trzeci... Statek się tak kołysze, że z ławki spada walizka. Czwar-ty, piąty, siódmy...

Nic innego — alarm! Pewno z „Pułaskim” źle! Gdzie spodnie? W porządku! Koc na rękę, pas ratunkowy założony według przepisów — i chodu na bosaka na górny pokład do wyznaczonej szalupy.

Na schodach jeszcze, chwala Bogu, nie ma tłoku. Słychać tylko głosy zaspanych ludzi w kabinach. Widocznie nie połapali się w sytuacji. Za trzy minuty może być za późno.

Wbiegam na pokład.

Spokojnie rozmawia tu Jadzia Wajsówna w szlafroku z Budzińskim w negligiu.

— Dlaczego alarm? Co się stało?

— Jaki alarm? Powitaliśmy »Polonię«, która nas minęła. A to się redaktor wybrał...

I w śmiech. Pas ratunkowy schowałem za siebie, ale już było za późno. Wszyscy zauważyli i zaczęli wytykać palcami.

Następnego dnia przy śniadaniu owacja. Powinszowania kapitana Knoetgena dla »najczujniejszego pasażera«. Ogólne zainteresowanie moją historią. Kpinkowanie. Docinki zawodników...

Rumieniłem się, ale zniósłem. I diabli mnie wzięli dopiero grubo później, za trzy dni.

Jest zwyczaj, że przed ukończeniem podróży kapitan statku wydaje przyjęcie pożegnalne dla pasażerów. Na takim »kapitańskim wieczorze« obowiązuje gala, *dinner* składa się z sześciu dań i mięsiwo obficie podlewa się winem.

Nasi wioślarze przyszykowali tymczasem miłą niespodziankę. Po przemówieniach Skolimowski wręczył kapitanowi Knoetgenowi i pierwszemu oficerowi por. Prokulskiemu karykatury własnej roboty; delegacja wioślarzy pomaszerowała potem w moją stronę.

— Pewno i dla mnie karykatura — przeleciało mi przez głowę.

Wyróżnienie było innego rodzaju. Przy chóralnym śmiechu zawieszono mi na piersi korkowy medal z emblematami linii Gdynia—Ameryka i napisem: »Dypłomanemu Ratownikowi«.

Ledwo ochłonąłem po tej kontuzji, steward dźwiga specjalny tort kremowy w formie pasa ratunkowego. Dla mnie od kapitana statku.

Wszyscy mieli tego dnia pierwszorzędną zabawę. Tylko bohater przygody był smutny i gryził w kącie paznokcie.

Odwdzięczyłem się w sposób szlachetny. Po kryjomu uciekłem z jadalni i na- stawilem w kabinie radiodbiornik na Warszawę. W przerwie muzyki z »Adrii« ogłoszono komunikat sportowy Polskiego Radia.

Z niecierpliwością wylapywałem wiadomości. Kolarze w Rzymie... Skład reprezentacji bokserskiej na Italię... Mistrzostwa tenisowe Polski... Komitet Olimpijski szykuje wspaniałe przyjęcie dla ekspedycji... Wyniki finałów wioślarskich w Belgardzie...

Za pięć minut kierownicy ekspedycji i zawodnicy mieli w rękę wydany przez »Przegląd Sportowy« specjalny biuletyn dla olimpijczyków o wydarzeniach sportowych w kraju.

Komunikuję moim władzom zwierzchnim w redakcji, że otrzymałem wówczas oklaski uznania za sprawność informacyjną od p. gen. Roupperta, kpt. Barana, dr. Bartenbacha, inż. Lenartowicza i — co najważniejsze — od mojej konkurencji, p. red. Kazimiery Muszałówny [przedstawicielka PAT, która jako jedyna wraz z Erdmanem obsługiwała Igrzyska w Los Angeles — B.T.]. Oklaski te zasuszyłem i przechowuję na sercu [...].

Inne wydarzenie, inna sceneria, ale ten sam sposób narracji, ten sam, udoskonalany permanentnie styl, ten sam polski, piękny język. Jan Erdman latem 1938 r. ogląda w Nowym Jorku legendarną walkę o tytuł mistrza świata wszechwag w boksie Joe Louis — Max Schmelling. I tak jak na łamach „Przeglądu Sportowego” wspominał:

„Walka trwała 2 min. i 4 sek. Taki czas podali sędziowie. Ale w gruncie rzeczy była o wiele krótsza — nie przeciągnęła się poza minutę. Ale w gruncie rzeczy była o wiele dłuższa: toczyła się przeszło dwa lata [...].

— Na atak trzeba było odpowiedzieć atakiem — twierdzi nasz trener p. Sztam — to by zaskoczyło i powstrzymało Murzyna.

Być może. Ale Schmelling nie umie atakować na początku spotkania. Jak mówią Niemcy, jest on »langsamer Starter«, rozgrzewa się wolno, dlatego pierwsze cztery starcia są dla niego zawsze okresem krytycznym.

Max obrał drogę najgorszą. Czekał na swój cios magiczny, który miał obudzić trwogę w sercu Murzyna. Dostał serię w zwarcu. Dostał kilka ciosów z dystansu. Został przyparty do sznurów.

Tu nastąpił koniec. Aby zasłonić się przed prawymi (wbrew oczekiwaniom, Louis więcej bił prawą niż swoją słynną lewą), Schmelling odwrócił się do Murzyna lewym bokiem. Dwa sierpy z pódystansu wylądowały na jego nerce. Twarz Niemca wykrzywił ból. Rozległ się okrzyk tak przeraźliwy, tak nienaturalny, że Louis przyjął go za spazm niewiasty z widowni, ale to krzyczał Schmelling.

Za chwilę Max był na deskach. Przekoziółkował na plecach i wstał natychmiast. Dostał jeszcze kilka ciosów, których nikt nie liczył, bo Schmelling już się nie bronił. Jeszcze raz na ziemię. Jeszcze raz wstaje. Znowu seria w otwartą twarz. Z narożnika leci ręcznik. Sędzia go odrzuca, w myśl regulaminów nowojorskich sekundant nie ma prawa poddać zawodnika.

Ale Donovan wkracza sam. Walka jest rozstrzygnięta. Wyciąga ręce, bierze Maxa za głowę i odprowadza do narożnika. Louis pozostał mistrzem świata”.

I znów ten sam Erdman, tylko nieco bardziej refleksyjny. Rok 1937. Ostatnie zawody na starych (1892), zasłużonych dla polskiego kolarstwa Dynasach.

„Dożyliśmy więc końca Dynasów — pisał na łamach „Przeglądu Sportowego”. — Najstarsze gniazdo kolarstwa, kolebka wszystkich naszych asów przestaje istnieć. Za kilka dni przyjdą robotnicy i zaczną łamać najlepszy tor kolarski.

Na pogrzeb starych Dynasów przyszły tłumy wyjątkowo gęste, 5—6 tysięcy. Cała kolarska rodzina. Nastrój był — jak zwykle na masowych uroczystościach — podniecony, ale nie smutny. Ludziska zwracali więcej uwagi na przebieg stypy niż na majestat śmierci. Ten i ów tylko zafrasował się i zapadł w siebie na myśl, że to już po raz ostatni, że nigdy więcej, że koniec”.

A teraz Erdman-publicysta, w temacie aktualnym od czasów starożytnych. W artykule *Amatorstwo w odwrocie* (1931) pisał:

„Nie pamiętam już rytualnego tekstu definicji sportowca amatora, ale bez niej też chyba dojdziemy do porozumienia. Istota jej streszczała się w tym, że za najważniejsze narzędzie zamiany amatora w zawodowca uznano — pieniądz [...].

— *Hands off, kupcy!* — krzyczą rzecznicy czystego sportu i, wywijając regulaminami, wypędzają handlarzy ze świątyni bezinteresownych wysiłków i niedokarmionej sławy.

W rzeczywistości jednak życie nie stawia spraw tak ostro, jak delegaci w dy-

skusjach międzynarodowych. Życie jest mistrzem kompromisów; zabiega, ratuje i szuka wyjścia tak długo, aż wszystkie przepisy, łamiące swobodny rozwój, zostaną przełamane, pominięte lub zbagatelizowane [...].

Sport czysto amatorski jest iluzją barona Coubertina, miłego staruszka, którego jedyną zasługą jest odgrzebanie i odświeżenie pomysłu zorganizowania światowych igrzysk sportowych. Ale późniejsze lata działalności tego marzyciela nie wniosły już nic realnego do urzeczywistnionej idei [...].

Dlatego też historia amatorstwa w sporcie jest kroniką odwrotu i ustępstw. Oto wbrew prądowi życia, mimo krańcowo różnych podstaw rozwoju sportu — powstało pojęcie idealnego amatorstwa, stanu, w którym sport uprawiany jest wyłącznie dla własnego zadowolenia. Następnym etapem kompromisu z życiem była era nagród, oklasków i umiarkowanych dawek sławy [...].

Uznano więc dopuszczalność odszkodowań i zwrotu utraconych zarobków. Zasady te obstawiono co prawda szeregiem zastrzeżeń, ale ostatecznie broniono się zaciekle już tylko przed widmem banknotów w rękach sportowców.

Stan obecny można uważać za niemoralny, niewłaściwy lub gorszący nawet, ale nie sposób jest mimo to zaprzeczyć, że teraźniejszy okres jest świadkiem upadku ostatniego bastionu amatorstwa. Okopy Sw. Trójcy oblegane są zewsząd: przez czynnych sportowców wszelkiego autoramentu, przez działaczy klubowych, przez prasę sportową i przez menagerów [...].

Oto dziesięciu najwybitniejszych polskich automobilistów, uważanych za amatorów, zwróciło się do Automobilklubu Polskiego z prośbą o wprowadzenie zamiast nagród — premii startowych po 1500 zł od zawodnika i startu [...].

Lotnictwo też jest stracone dla przedpotopowych pojęć o amatorstwie [...].

Oto piękny sport jeździecki, rycerski sport hippiczny, również nie jest wolny od zarazy. Nasi najlepsi zawodnicy (podobnie jak za granicą), posiadają często koni w wyścigach z totalizatorem i zdobywają — to już rzadziej — wysokie nagrody pieniężne. Mało tego. Szereg konkursów dżentelmeńskich w hippice wyposaża się obecnie w przekazy bankowe [...].

A przecież jeszcze inny zarzut można postawić oficerom zawodowym. Oto „zawodowcem jest — jak głoszą przepisy jednego ze związków sportowych — kto uprawiał lub nauczał jakichkolwiek ćwiczeń sportowych w celu zysku pośredniego lub bezpośredniego«. Czy więc, według logicznej interpretacji, nie należałoby uznać za zawodowców oficerów, którzy otrzymują stałą gażę za przebywanie w ośrodku treningowym lub za uprawianie jazdy konnej?

Nie o wiele lepiej jest w sportach uznających podział na zawodowców i amatorów. W takim kolarstwie nie ma właściwie w ogóle amatorów, istnieją tylko gorzej lub lepiej płatni zawodowcy [...].

Stosunki piłkarskie — niełatwe do zdemaskowania — nie przedstawiają się również dużo lepiej”.

Erdman-reporter, Erdman-sprawozdawca, Erdman-komentator, Erdman-publicysta... Wcale jednak nie jestem pewny, że właściwie dobrałem państwu „reprezentatywne próbki” twórczości wielkiego dziennikarza, gdyż chodziło mi o to, aby połączyć piękne z pożytecznym, tzn. styl i formy dziennikarskie ze znaczącymi wydarzeniami sportowymi. Pocieszam się jednak tym, że obojętnie jak bym to zrobił, to i tak nie oddałbym, nawet w minimalnym stopniu, szerokiej gamy umiejętności i możliwości Erdmana, który w ciągu 46 lat swojej profesjonalnej kariery był bardzo długo „poza sportem”, choć — jak pisał: „Nie wziąłem z nim rozbratu. Wydawało mi się rzeczą normalną, żeby interesować się nie tylko rekordem w skoku wwyż, ale także powieścią Choromańskiego, i nie tylko cedułą ligową, lecz także cedułą wskaźników gospodarczych”. Ale i w tym pisaniu „pozasportowym” Erdmana było coś wielkiego i nowatorskiego. Z wojny domowej w Hiszpanii przysyłał np. wstrząsające reportaże z tak charakterystycznym dla niego

obiektywizmem, że krytycy z pism lewicowych nazwali go „sługą faszyzmu”, a inni z pism prawicowych — „czerwonym błaznem”.

Kim jednak był Jan Erdman dla dziennikarstwa sportowego?

Choć odpowiedź na to pytanie nie jest zbyt trudna i mogłaby paść natychmiast, proszę o wybaczenie czytelników za dygresję osobistej natury. Otóż dla nas, dziennikarzy sportowych mojego pokolenia, a także nieco starszych, którzy rozpoczynali karierę zawodową po II wojnie światowej, Jan Erdman był niedoścignionym wzorem profesjonalnego mistrzostwa. Ciekawe, bo przecież po wojnie nie było go w kraju, nie pisał, nie stykaliśmy się z nim osobiście, nie znaleźliśmy go, ale na szczęście pozostały po zawierusze wojennej przedwojenne roczniki „Przeglądu Sportowego”, z których czerpaliśmy wiedzę i o sporcie, i o dziennikarstwie, choć np. lata pięćdziesiąte nie sprzyjały powrotom do tradycji i przeszłości. Ale stare „Przeglądy” się wertowało i pamiętam dyskusje z tamtych lat: Rothert, Gryżewski, Grabowski, Maliszewski — mówiono — to była klasa, ale Erdman cieszył się największym uznaniem, przede wszystkim za piękny polski język, za prostą, jasną i przejrzystą konstrukcję swoich tekstów, za odwagę w formułowaniu myśli i postulatów. Jego dziennikarstwo było inne, jego artykuły się „dobrze czytało”, oddawały nastrój widowiska sportowego, były zrozumiałe dla przeciętnego czytelnika.

Ale, poza jego tekstami, o Erdmanie my, młodzi, wiedzieliśmy niewiele. Skromny fragment jego biografii (oparty zresztą na jego listach przesyłanych do przyjaciół w Warszawie w pierwszych latach wojny) zawarty był jedynie w jednym z pierwszych numerów „Przeglądu Sportowego” w lipcu 1945 r. W *Wielkiej przygodzie redaktora Jana* pisano:

„Jan Erdman, najlepsze pióro pośród dziennikarzy sportowych, pożegnał się z publicystyką na czas wojny i chwycił za karabin. A pióro miał tak cięte, że nigdy nie mógł zamienić go na nagrodę PUWF, która słusznie powinna była przyjąć mu w udziale, jako najwyższe odznaczenie dla dziennikarzy sportowych.

Redaktor Erdman, mimo iż ze względu na zdrowie został zwolniony ze służby wojskowej, uważał, że w 1939 r. nawet tacy »kalecy« muszą chwycić za broń. Brał czynny udział w obronie Warszawy w artylerii przeciwlotniczej.

W pierwszych miesiącach okupacji zarabiał na chleb jako sprzedawca w sklepie manufaktury. Erdmanowi jednak stawało się coraz ciasniej w Warszawie. Jego reportaże z Prus Wschodnich na miesiąc przed wojną nie wróżyły nic dobrego. Ruszył więc na Wielką Przygodę.

W lecie 1940 r. Erdman jedzie do Krynicy, symuluje chorobę nogi i kuleje. Przeprowadza kurację. Pewnej nocy nie wraca do pensjonatu, idzie sam jeden, bez przewodnika, przez zieloną granicę, przez Słowację na Węgry. Idzie jako dzielny piechur-sportowiec.

Po pewnym czasie nadchodzą z Budapesztu ostrożnie pisane wiadomości. Można jednak łatwo z nich wywnioskować, że Erdman szedł tylko nocami i miał niejedną niebezpieczną przygodę. Redaktor Jan Erdman przestał istnieć — narodził się żołnierz Jan Amen.

Jan Amen pisał jeszcze do nas z Turcji, później korespondencja zamarła. Dopiero w trzecim roku okupacji w jednej z podziemnych gazet warszawskich ukazał się reportaż Wańkowicza, w którym opisuje zakończenie kursu w podchorążówce gdzieś w Syrii czy Palestynie. Píše o takim redaktorcu wysokim jak tyka, który niósł karabin.

Już wówczas Jan Amen przeżył kampanię libijską i został odznaczony pod Tobrukiem *Virtuti Militari*.

Od tej chwili o Janku nic nie wiemy. Wierzymy, że przeszedł szczęśliwie przez dalszy okres wojny i pewnego dnia znów zasiądzie między nami”.

Ale Erdman do kraju nie wrócił, podobnie jak kilku innych czołowych dzien-

nikarzy sportowych okresu międzywojennego, do których należeli: Adam Nechay, Aleksander Szenajch, Ignacy Klibański (szef sportu w „Robotniku”), Wiktor Kwast, Ryszard Mossin, Edward Sokop i jeden z przyjaciół Erdmana — Wojciech Trojanowski.

Mijały lata i dopiero w 1963 r. Stanisław Mielech, jeden z najstarszych dziennikarzy sportowych, w swoich *Sportowych sprawach i sprawkach* znów przypomniał szerszej publiczności o „królu reporterów”:

„Z Janem Erdmanem spotkałem się po raz pierwszy na terenie »Stadionu«, w którym pisywał na różne tematy. Erdman zawodnikiem nigdy nie był. Pisał interesująco, ale jego artykułom brak było pogłębienia fachowego, co się dało wy-czuć. Raz miałem z nim następującą rozmowę:

— Panie Janie, pan ma dane, aby się wybić jako dziennikarz sportowy, ale musi się pan stać specjalistą w jakimś dziale sportu. Przy Rothercie, który był rekordzistą Polski, nie będzie pan miał niczego do powiedzenia w lekkiej atletyce, przy J. Grabowskim o piłce nożnej lub przy Junoszy o boksie. Od czasów gdy Stapiński pisał o kolarstwie, nie czytałem w prasie sportowej ani jednego interesującego artykułu z tej dziedziny. Niech pan się zrobi specem od kolarstwa, przeczyta parę podręczników, zgłębi, co to są te ich »cynkle« i »przerzutki«, niech pan pojedzie z kolarzami parę razy na wyścigi, obejrzy tory zagraniczne i wtedy może się pan stać dziennikarzem opiniodawczym od kolarstwa.

Nie wiem, czy Erdman wziął sobie moje rady do serca, w każdym razie w ciągu paru lat wyrobił się na znawcę kolarstwa. Później stał się specem od wielkich wywiadów i jeżeli można powiedzieć o którymś z dziennikarzy sportowych, iż robił politykę sportową w wielkim stylu, to głównie o Erdmanie.

Na początku kariery dziennikarskiej Erdmanowi zdarzały się »niewypały«. Pracując w »czerwonej prasie«, znalazł on w wiedeńskim »Sporttagblacie« wiadomość, że najlepszy hinduski hokeista na Olimpiadzie Dyan Chand używał kija, w którym miał ukryty bardzo silny magnes, i dlatego w przebojach nikt mu nie mógł odebrać piłeczki, bo ta jakoby kleiła mu się do kija. Był to luty, okres, gdy nie ma zwykle o czym pisać, »Sporttagblatt« był zawsze poważnym źródłem informacji, więc Erdman z tej wiadomości zrobił »bombę«, podlewając ją sosem sensacji. Wnet jednak koledzy z konkurencyjnych dzienników pouczyli go, że »Sporttagblatt« pod koniec karnawału ma zwyczaj zamieszczania żartobliwych artykułów.

Erdman swymi krytycznymi artykułami często się narażał różnym osobistościom zajmującym wysokie stanowiska. Miał np. zatarg honorowy z płk. Ulrychem, ale o tym było głucho w prasie. Natomiast duży rozgłos miał jego proces z Polskim Związkiem Towarzystw Kolarskich”.

Kiedy pod koniec lat sześćdziesiątych rozpocząłem trwające do dziś studia nad historią prasy sportowej i dziennikarstwa, postanowiłem za wszelką cenę odnaleźć Jana Erdmana. Udało mi się to w 1972 r., akurat w momencie, kiedy „król reporterów” kończył dziesięć lat trwające szefostwo w miesięczniku „Ameryka”, ukazującym się w Waszyngtonie. Erdman przechodził właśnie na emeryturę i przeniósł się do niewielkiej wioski Middlefield w stanie Nowy Jork.

Pisaliśmy do siebie przez 14 lat i tylko raz dane nam było spotkać się osobiście w Polsce (1975 r.). Ostatni list otrzymałem od Erdmana na kilka tygodni przed jego samobójczą śmiercią w 1986 r., kiedy przygotowywaliśmy się (oba) do powtórnego spotkania w kraju.

Korespondencja z Janem Erdmanem (ponad 50 listów) była dla mnie przede wszystkim wspaniałą przygodą intelektualną. „Król reporterów” nie zmienił się, raczej dojrzał jak stare wino, nadal piękną polszczyzną formułował swoje myśli, precyzyjnie rozkładał akcenty w swoich racjach, był nieprzejednany w niektórych swoich poglądach... Tak jak dawniej na łamach „Przeglądu Sportowego”, z tym że teraz nasze listowne polemiki i starcia, trwające nieraz całymi miesiącami, do-

tyczyły zadań i roli dziennikarstwa, znaczenia poszczególnych tytułów pism sportowych w Polsce międzywojennej, oceny wielu ludzi i zjawisk w naszym ruchu sportowym i miejsca w nim dziennikarzy sportowych. Nie powiem, że te nasze „rozmowy na odległość” były proste i wszystkie kończyły się „uzgodnieniem stanowisk”. Szczególnie w pierwszych latach nie brak w nich było pewnych uprzedzeń i braku zaufania. Jan Erdman stał się dobrym duchem moich długoletnich wysiłków w dziedzinie utrwalenia historii prasy i dziennikarstwa sportowego w Polsce, a także był najsurowszym recenzentem wszystkich publikacji, które się do tej pory ukazały.

Pisał np. w liście z 29 listopada 1975 r., po ukazaniu się mojej pierwszej książki prasoznawczej pt. *Sprintem przez prasę sportową*: „Winszuję porodu. Książkę otrzymałem przed tygodniem (dziękuję!) i przejrzałem od razu. Nie wszystkim jestem zachwycony i nie z każdym poglądem Pańskim się zgadzam, ale mimo to uważam *Sprintem przez prasę sportową* za pracę pomnikową, ponieważ jest jedynym dziełem utrwalającym narodziny i rozwój dziennikarstwa sportowego przez pierwsze 60 lat jego istnienia. Takiej pracy nie było i chyba już nie będzie, bo i o materiały trudno, i świadkowie się wykruszają. Wielka za to należy się Panu wdzięczność i ołbrzymia spada na Pana odpowiedzialność. Bo siłą rzeczy to, co Pan napisał, przyjmowane będzie za słuszne, prawdziwe, autentyczne, tak jak kronika Galla. Innych kronikarzy nie mamy, są tylko przyczynkarze”.

A potem następowała długa litania uwag ogólnych i szczegółowych Erdmana dotyczących przeczytanej książki. Rozpocynała się kolejna już runda sporów i polemik. Nie poszły one na marne. Kilka lat później, 1 sierpnia 1981 r., kiedy polska prasa sportowa obchodziła swoje stulecie i kiedy właśnie z tej okazji ukazała się *Prasa i sport*, Jan Erdman pisał do mnie: „Tą księgą wprowadził mnie Pan w osłupienie. Nie tylko dlatego, że pękata, ale przede wszystkim — że jest o niebo dojralsza od pierwszego tomiku. Postęp jest astronomiczny: nareszcie wyładował Pan na księżycu. Tego Panu serdecznie winszuję i z tego bardzo się cieszę.

Czytałem tom ten żarliwie. Znalazłem wiele wiadomości mi nie znanych. Oczywiście, cała część współczesna jest dla mnie wyprawą na nowy kontynent. Czasy zamierchłe (do czasu Pańskich prac — »przedhistoryczne«) znałem bardzo pobieżnie. Ale co najdziwniejsze: wykopał Pan dużo rzeczy nowych w okresie międzywojennym, kiedy zajmowałem się układaniem literek na papierze, podczas kiedy Pan był dopiero w odległych planach. Zastanawiające!”

I dla mnie zawsze było zastanawiające, jak można wiele ludzkich myśli wyrazić tak krótko, precyzyjnie, a jednocześnie tak pięknie i przekonująco. Umiał po mistrzowsku władać piórem Jan Erdman, niedoszły medyk, z wykształcenia prawnik, z przekonania i zamiłowania dziennikarz, dla którego ten rodzaj pracy miał specjalny powab, gdyż był przekonany, że „żaden inny zawód nie dotyka tak bezpośrednio i tak wszechstronnie życia, nie zbliża tak do różnych spraw i charakterów ludzkich” (1937). Dla sportu zaś miał Erdman ogromny podziw i entuzjazm. „To był dla mnie ogień!” (1986) — powiedział reporterowi u schyłku swojego życia. I dlatego pisał przede wszystkim o sporcie. „Zawsze byłem pokerzystą, zawsze lubiłem hazard” (1986) — mówił o sobie innym razem i stąd chyba po obejrzeniu, w kwietniu 1938 r., pojedynku Maxa Schmellinga z Amerykaninem Steve Dudasem (wygrał Niemiec w 5 rundzie przez ko) mógł napisać: „Czy to naprawdę warto było walić 1600 km do Hamburga, aby przez 15 minut oglądać walkę Schmellinga? Czy to było rozsądne?... Przyznam szczerze: nie, to nie było rozsądne. Jak nierozsądna jest pogoń za żadnym rekordem. Po co starać się o przeskoczenie 209 cm, kiedy 208 to też bardzo wysoko... Ale tacy są sportowcy, ludzie opętani dziwną manią. Otóż jestem pod niewątpliwym działaniem podobnej choroby. Za wszelką cenę i bez względu na przeszkody chciałem zobaczyć walczącego Schmellinga. Potrzebowałem go do swego rekordu, do kolekcji. Dziennikarz musi mieć

w swej pamięci sylwetki Nurmiego, Tildena, Owensa, Weissmuellera, Torrance'a, Zamory czy Scherensa [...]”.

Był więc Erdman hazardzistą i... rekordzistą. Stąd jego liczne podróże, wędrówki po różnych stadionach świata, i to nawet za własne pieniądze (np. Olimpiada w Los Angeles), setki reportaży i wywiadów z najsłynniejszymi sportowcami Polski i świata. Ale owa pazerność na tematy, ta swoiście pojęta „rekordomania” mogła mu co najwyżej przypiąć etykietę „latającego reportera”. Tymczasem Erdman był na pewno „królem” sportowych reporterów w okresie międzywojennym. Rzecz więc nie w ilości, a przede wszystkim w jakości przekazywanych do centrali przy ul. Marszałkowskiej materiałów.

Jan Erdman rozpoczął swoją karierę dziennikarską w drugiej połowie lat dwudziestych. Rok 1926 — następuje przełom w polskim sporcie. Każdy szanujący się dziennik ma już swoją rubrykę sportową. Wierzyński „przemeblowuje” „Przegląd Sportowy”. A jak się wtedy pisze o sporcie? Temat referuje lekkoatleta warszawskiej „Polonii”, działacz i dziennikarz, ale jednocześnie baczny obserwator życia sportowego, znany już z łamów tej książki — Marian Raszke:

„[...] Jak wiadomo, dziennikarze sportowi u nas rekrutują się z czynnych lub byłych sportowców. Ma to swoje dobre i złe strony. Powiem nawet, że dobrych jest o wiele więcej; nie znaczy to jednakże, aby nie starać się złych unikać. Določmy więc przede wszystkim starań, aby stanąć we właściwym stosunku do publiczności. Powiedzmy sobie od razu, że w prasie codziennej musimy tak pisać, aby zrozumiał nas każdy człowiek naszego pisma. W rubryce sportowej wiadomości muszą być tak zrozumiałe, jak kronika teatralna, miejska, wiadomości polityczne, wypadki. Nie można więc robić ze sportu rubryki dostępnej tylko dla wtajemniczonych, gdyż dla nich jest prasa specjalna, zaś pismo codzienne powinno być w każdym calu dostępne dla każdego.

A więc unikać przede wszystkim należy podawania całej masy różnych wyników, całych tabel najeżonych sportowymi hieroglifami: nazwami drużyn, zawodników, konkurencji, liczb, minut, sekund, metrów, centymetrów itd. Mam wrażenie, że nawet sportowcy nie czytają tych długich, nudnych i suchych wyników, zaś przeciętny śmiertelnik z przerażeniem lub irytacją ucieka wzrokiem od zbyt skrupulatnej kroniki sportowej. Więcej celowym wydaje się podawanie tylko najważniejszych wyników, i to zawsze z krótkim objaśnieniem.

[...] Nie zapominajmy ani na chwilę, że sport nie jest u nas jeszcze tak popularnym, żeby w każdym wypadku można było o nim mówić jako o rzeczy dobrze znanej. Na przykład: przypuszczam, iż nazwiska Nurmi, Lenglen, Pelissier, Kopopacka, Lange, Loth są ogólnie znane, lecz nie można tego powiedzieć o Weismüllerze, Hoffie, Paolinim, Stolarowie, Szelestowskim.

[...] A wreszcie jeszcze jeden jeśli już nie mur, to przynajmniej przeszkoda, dzieląca nas od czytelnika codziennej prasy. Nasz język! Co krok, to cudzoziemskie słowo lub ściśle techniczne wyrażenie, które nawet dla sportowca lub nie obeznanego z daną dziedziną sportu nic nie mówi. Jest rzeczą zrozumiałą, że pisząc o sporcie nie możemy całkowicie unikać obcych nazw ani utartych wyrażań sportowych. Lecz starajmy się przynajmniej liczbę ich zmniejszyć: pierwsze z nich w miarę możliwości zastępować już istniejącymi polskimi terminami, a drugie omawiać i wyjaśniać. Po cóż więc używać nazw *football*, *gymkhana*, *crosscountry*, *water-polo*, kiedy mamy już odpowiednie polskie nazwy?”

Nie wiem, czy Jan Erdman znał Mariana Raszke i czy czytał jego artykuł zamieszczony w „Stadionie”, natomiast pewny jestem, że to właśnie on w praktyce zrealizował wszystkie postulaty skierowane ponad sześćdziesiąt lat temu do dziennikarzy sportowych. Pisał o sporcie prosto i przystępnie dla wszystkich, operował pięknym polskim językiem, oddawał wszystkie barwy sportowej walki, bez mentorstwa i zbytniej fachowości, zachęcając młodzież do jego uprawiania.

Uczył przez barwny opis. Na ile było to wynikiem nowych prądów, które wniósł do „Przeglądu Sportowego” Kazimierz Wierzyński, na ile modnych wówczas francuskich wzorów, a na ile samego, wielkiego talentu Erdmana, który chwalił się tym, że „był samoukiem i do żadnej szkoły dziennikarskiej nie uczęszczał” — trudno powiedzieć. Znana jest natomiast cała „filozofia dziennikarstwa”, którą wyznawał „król reporterów”, a której *credo* wielokrotnie przewijało się w naszych dyskusjach prowadzonych drogą korespondencyjną.

Pisał na ten temat w *Opowiadaniu prawdziwym*:

„Byłem zaprzeczeniem specjalisty, także w sporcie: pisałem o piłce nożnej, boksie, lekkiej atletyce, tenisie, wioślarstwie, szermierce, hokeju, kolarstwie. Kolarstwu poświęciłem specjalną uwagę. Nie dlatego, żebym ten sport bardziej lubił, ale ponieważ chciałem go uporządkować i zmodernizować. To mi się nie udało. Dopiero w wiele lat po wojnie kolarstwo wzniosło się na przyzwoity poziom.

Czy znałem się na tych wszystkich sportach? O każdym miałem pojęcie, nie-które po frajersku uprawiałem (jako student miałem ambicje tenisowe, zapisałem się do Legii, ale nie wpuszczono mnie na korty, bo nie miałem białych spodni), w każdym razie nie byłem zawodnikiem. To był *handicap*, z jego pokonania jestem dumny.

Nie ulega wątpliwości, że ideałem jest dobry zawodnik, który potrafi dobrze pisać. Ale takie fenomeny nie rodzą się na każdym kamieniu. Kto robił wywiady z rekordzistami albo brał udział w preparowaniu wspomnień mistrza, ten wie, że przekazanie na papier obserwacji i przeżyć jest przeważnie ponad siły najsilniejszych, najszybszych, najzręczniejszych ludzi. Trzeba mieć coś do powiedzenia i umieć to wyrazić”.

I dalej wyjaśniał:

„Jeśli jako czytelnik muszę dokonać wyboru między sprawozdaniem wybitnego zawodnika i wybitnego dziennikarza, zawsze wybiorę fachowca od pisania. Chcę *per procura* być na boisku, przeżyć walkę, a potem dowiedzieć się o konsekwencjach i znaczeniu wyniku. Jeśli reporter nie potrafi przekazać tych podstawowych rzeczy, niech lepiej złamie długopis. Tak przynajmniej oceniałem swoje zadanie — i z czytelnikami nigdy nie miałem na ten temat sporów.

Z zawodnikami bywało rozmaicie. Zdarzało się, że rekordzista albo działacz, albo — rzadziej — trener przychodził z pretensją, że wystawiłem mu krzywdzącą ocenę. Jeśli potrafił to uzasadnić, uznawałem swój błąd. Jeśli zaś dochodziłem do przekonania, że jest to tylko uczulenie na krytykę (90% przypadków), nie miałem trudności z przeciwstawieniem mu autorytetu lepszego zawodnika czy bardziej renomowanego znawcy. Jest to licytacja bezsensowna, ale czasem nieunikniona.

Powiedzmy wyraźnie: byłem kibicem urzeczonym przez sport. Pisałem dla innych kibiców, którzy chcą wiedzieć, co działo się i jak się działo. Kto szuka wskazówek, jak wykonać przekładankę przy rzucie oszczepem, ten powinien za-fundować sobie podręcznik, a nie gazetę. Jakiś podział pracy musi istnieć, nie?”

Innym razem (1978) Erdman podniósł jeszcze bardziej rangę problemu, gdyż napisał do mnie:

„Najistotniejszym w moim pojęciu zagadnieniem, które kształtowało oblicze prasy sportowej 1918—1939 było współzycie i zmaganie się dwóch prądów: belferskiego i konsumpcyjnego (nazwy uproszczone). Pierwszy stoi na stanowisku, że prasa sportowa powołana jest do pouczania, jak trzeba wykonywać przysiad czy też jakie błędy popełnia Kowalski w treningu interwałowym. Drugi twierdzi, że jest to zadanie trenerów, instruktorów, profesorów i nie ma konieczności wtrącania się tu dziennikarza. Dziennikarz ma tak opowiadać o tym, co dzieje się na ringu czy boisku, żeby czytelnik: 1) mógł sobie odtworzyć obraz wydarzeń i 2) żeby opis ten porwał go, a co najmniej — zainteresował. Fachowy, ale nudny spra-

wozdawca powinien być wylany z gazety natychmiast i bez odszkodowania, nawet jeśli wie, jak strzelać bramki lepiej niż Deyna. Utalentowany dziennikarz może mieć przemożny wpływ na kształtowanie klimatu sportowego, przestrzeganie *fair play* itd., podczas gdy dziennikarz-belfer będzie zawsze tylko jeszcze jednym i nie najlepszym instruktorem”.

Kiedy z wielu względów próbowałem podtrzymać dyskusję na ten temat, Erdman napisał w kolejnym liście:

„Pańska linia podziału rozgranicza dziennikarzy na dobrych i złych. Tu jestem z Panem, tylko że w ten sposób nie posuwamy się ani o krok naprzód, bo inaczej rozumiemy dziennikarstwo dobre. Dla mnie dobre dziennikarstwo (wszelakie) polega na pisaniu, które zaspokaja ciekawość i potrzeby czytelnika. Według Pana, dziennikarz powinien — owszem — umieć pisać, ale także znać się na rzeczy. Jest to zastrzeżenie niepotrzebne. Nikt, kto będzie pisał głupstwa o boksie czy piłce, nie utrzyma się w redakcji dłużej niż dwa tygodnie. Kryterium »znawstwa« jest tarczą dla krytykowanych zawodników, trenerów i działaczy. Lepiej na kolarstwie od Pana zna się ten monter, który wygrywa wyścig, ten jąkający się wiceprezes i ten kombinator trener; niech ich Pan posadzi przy swoim biurku. Nie kruszę kopii o rzecz oczywistą: ideałem jest świetny dziennikarz i świetny znawca przedmiotu. Praktycznie takich prawie nie ma, do ideału najbliższej dotarł Wojciech Trojanowski. Wiktora Junoszę Dąbrowskiego uważam za najwybitniejszego dziennikarza międzywojnia nie dlatego, że był kiepskim bokserem, ale dlatego, że miał znakomite pióro”.

Kiedy przed laty (1974) zapytałem Jana Erdmana, co zalicza do swoich najwybitniejszych osiągnięć w dziennikarstwie sportowym, odpowiedział:

„— Wysłanie za pośrednictwem telekomunikacji radiowej [droga fototelegraficzna — B.T.] pierwszej w dziejach dziennikarstwa polskiego fotografii prasowej [przedstawiała defiladę reprezentacji polskiej na otwarciu Igrzysk w Berlinie i jest do wglądu w „Przeglądzie Sportowym” — B.T.];

— pierwszy sportowy proces sądowy: zarzucono mi sfałszowanie wywiadu z zawodnikiem. Proces wygrałem, udowadniając ścisłość przytoczonych cytów i wiarygodność słowa dziennikarskiego;

— przyznanie mi w 1938 r. przez Związek Dziennikarzy Sportowych RP »Złotego Pióra« (zgiбіłem je w Tobruku) za całokształt działalności.

W życiu natomiast miałem dwa okresy, z których jestem najbardziej dumny: służba wojskowa i walka pod Tobrukiem oraz pięcioletnia egzystencja na farmie kurzej (1945—1951) w Stanach Zjednoczonych, kiedy zdałem egzamin z inteligencji i umiejętności improwizacji, bo wiedzy o wsi i o kurach nie miałem żadnej”.

Spróbujmy rozszerzyć naszą wiedzę o niektórych z osiągnięć „króla reporterów”, zwłaszcza tych, które były kamieniem węgielnym jego dziennikarstwa. Opowiadał:

„Byłem dziennikarzem, który nie unikał konfliktów. Jeżeli uważałem, że mam czystą sprawę, szedłem na zderzenie czołowe [podkreślenie autora]. Kiedy pułkownik Ulrych, wówczas prezes Związku Polskich Związków Sportowych, zaczął narzekać na dziennikarzy, że wynajdują różne brudy, ja napisałem o prezesie Polskiego Związku Bokserskiego, który uzyskał w MSZ bezpłatne paszporty dla ekipy udającej się do Dortmundu na mecz z Niemcami, zaś na miejscu wystawił gospodarzom rachunek — tak jakby płacił 400 złotych za każdy paszport. Niemcy byli szaleni zdziwieni (»To tak się u was popiera sport?«), lecz wszystko grzecznie uregulowali, nawet z dodatkową satysfakcją, bo zbili nas wtedy strasznie — 14:2. Po moim artykule prezesa PZB usunięto.

Inny wypadek — bardzo nieprzyjemny.

Uważam, że cała reputacja dziennikarza, całe jego życie opiera się na prawdzie, na tym, że jest dobrym, wiernym sprawozdawcą, a nie bujdziałem. Otóż

zrobiłem wywiad z Karolem Rómmlem, słynnym wybitnym jeźdźcem, który startował jeszcze na Olimpiadzie w 1912 roku. W latach trzydziestych był chyba trenerem. W czasie naszej rozmowy ostro skrytykował przygotowania polskiej ekipy hipicznej do Olimpiady w Berlinie (1936). Kilka dni po ogłoszeniu wywiadu otrzymuję od niego list: »Panie redaktorze, na litość Boską, niech pan zamieści załączone tutaj sprostowanie, bo mnie żyć nie dadzą«. Sprostowanie jest tego rodzaju: wywiad pana Erdmana ze mną został napisany nieściśle i twierdzenia w nim ogłoszone nie odpowiadają moim poglądom. Dzwonię do niego i mówię: »Panie pułkowniku, pański list zamieścić muszę, ale dołączę pod spodem moje oświadczenie. Pan wie najlepiej, że ja nie sfalszowałem tego wywiadu. Jestem gotów panu pomóc w pańskich trudnościach ze zwierchnikami, ale przecież nie przyznam się do niepopelnionej nieuczciwości«. No i poszły oba sprostowania. Mija tydzień i wzywają mnie do Ministerstwa Spraw Wojskowych. Po co — nie wiem. W pokoju sześciu wysokiej rangi oficerów. Okazuje się, że chodzi o wywiad z ppłk. Rómmlem. Od razu zrozumiałem — wojskowy sąd honorowy w jego sprawie. Mówię im, że przeprowadziłem w życiu tysiące wywiadów i jak oni sobie wyobrażają, że mógłbym tak zniekształcić słowa rozmówcy. »No, ale skoro mi panowie nie wierzą, mam w kieszeni list pułkownika Rómmła«. Wyciągnąłem i pokazałem, z tym: »bo mnie żyć nie dadzą«. Jeden z tych facetów mówi: »A czy to etycznie ogłosić taki wywiad i zrobić tyle przykrości pułkownikowi Rómmłowi?« Odpowiadam: »Gdybym go spotkał prywatnie, na jakiejś wieczorynce, i potem opublikował naszą rozmowę, to byłoby nie w porządku. Ale pułkownik jest dorosły — przyszedł do mnie do redakcji na wywiad i wiedział, że jego słowa ukażą się w druku. Jeśli panowie mają inne zdanie, bardzo załużę«. I na tym się właściwie skończyło; czy Rómmła spotkały jakieś służbowe przykrości — nie wiem».

No i wreszcie proces sądowy, który Jan Erdman zalicza do swoich wybitnych dziennikarskich osiągnięć, jedyny zresztą tej skali w historii polskiego dziennikarstwa sportowego.

Otóż w dwa dni po zakończeniu III Biegu Dookoła Polski (1933), gmach „Prasy Polskiej” przy ul. Marszałkowskiej odwiedził jego zwycięzca Jerzy Lipiński (Skoda Warszawa) wraz z menażerem fabrycznym, także kolarzem, notabene mistrzem Polski w sprincie, Kazimierzem Majewskim. Lipiński m.in. stwierdził, iż jeden z jego konkurentów (Wiktor Olecki) w czasie wyścigu dawał się prowadzić przez motocykle, a pod jedną górkę wyjechał trzymając się motocykla. Lipiński krytykował też ustosunkowanie się sędziów wyścigu do tych przekroczeń regulaminowych. Rozmowę w sześcioro oczu odbył i wywiad streścił na łamach „Przeglądu Sportowego” właśnie Jan Erdman.

W trzy dni po ukazaniu się wywiadu Lipiński na łamach innego pisma — „Kurier Sportowy” (jego redaktorem był... Janusz Kusociński) zakwestionował jego autentyczność. W liście do redakcji stwierdził, że ustępy o prowadzeniu jego rywala Oleckiego przez motocykle i o przestępczym (w sensie regulaminów sportowych) zachowaniu się sędziów nie odpowiadają treści rozmowy. Również opis zdobycia pewnej górki, na którą Olecki miał wjechać trzymając się motoru, a Lipiński — jego siodełka, nie jest zgodny z rzeczywistością.

Polski Związek Towarzystw Kolarskich, którego prezesem był w tym czasie Romuald Lange, a sekretarzem Stefan Pfeiffer, zaprzeczył, aby wiadomości, które wydrukował dziennikarz, pochodziły od Lipińskiego, a porównanie do *Tour de France* (wywiad nosił tytuł *Za przykładem „Tour de France”*) „rzucając cię na kolarstwo polskie i PZTK, który jest i pozostanie organizacją uczciwą i świadomą swoich obowiązków i celów”. Związek powołał specjalną komisję do zbadania sprawy. Lipiński, przesłuchiwany przez jej członków, zaprzeczył wszystkiemu. I Majewski też. PZTK napiętnował więc Erdmana jako „falszera” i skierował do sądu skargę o zniesławienie w druku.

Jana Erdmana bronił adwokat Fogiel, znany działacz w kołach bokserskich. Żadne mediacje i próby pogodzenia nie dały wyników.

Sprawozdawca „Przeglądu Sportowego” w artykule pt. *Porażka PZTK w sądzie. Red. Jan Erdman uniewinniony. Potępienie Związku Kolarskiego* napisał m.in.: „Erdmana nie widziałem jeszcze nigdy tak podnieconego. Chodzi krokiem uwiecznionego tygrysa po sali, zapisuje coś w notesie, przegląda papiery w pękatej teczce, wreszcie przymierza się do niewygodnego kojca dla oskarżonych”.

Podczas rozprawy Lipiński, podobnie jak przed specjalną komisją PZTK, oświadczył, że ustęp z wywiadu dotyczący Oleckiego i zachowania się sędziów wyścigu nie odpowiada prawdzie i on Erdmanowi takich informacji nie udzielił.

Adwokat Fogiel stwierdził jednak, iż Lipiński ze swoimi rewelacjami bynajmniej się nie krył, że podobnego wywiadu udzielił wcześniej przedstawicielowi jednego z wileńskich dzienników — Jarosławowi Niecieckiemu, i na dowód tego przedstawił sądowi numer „Dziennika Wileńskiego”, w którym ten wywiad był wydrukowany.

Ten dowód przekonał sąd. PZTK przegrał! Po dziesięciogodzinnej rozprawie wyrok brzmiał: „W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej Sąd Okręgowy postanowił Jana Erdmana oskarżonego z art. 255 (zniesławienie) i 256 (obraza) przez PZTK uniewinnić i kosztami sądowymi w kwocie zł 100 obciążyć Związek Kolarski”. Sędzia Danielewicz w motywach wyroku „z przykrością” stwierdził, że „metody Polskiego Związku Towarzystw Kolarskich kompromitują tę instytucję”.

Sam proces, a przede wszystkim motywacja wyroku znalazły swój oddźwięk i epilog podczas zjazdu PZTK, a prezes związku R. Lange nie długo utrzymał się na swoim stanowisku.

Sukces Erdmana był natomiast pełny, a jego sądowa „potyczka” z PZTK przeszła do historii sportu i dziennikarstwa sportowego, ale — jak to sam określał — „zderzenia czołowe” nie przynosiły „królowi reporterów” samych zaszczytów i sławy. Owszem, cieszył się wielkim autorytetem w swoim środowisku, wśród wydawców, kolegów dziennikarzy, a przede wszystkim czytelników, ale miał jak najgorszą opinię przede wszystkim u państwowych władz sportowych. Świadczą o tym najlepiej dokumenty Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego i Przystosowania Wojskowego, który dokonywał okresowych ocen zarówno pism sportowych, działów sportowych dzienników, jak i samych dziennikarzy sportowych.

Oto ocena „czerwoniaków” z 25 lutego 1936 r.:

„Express Poranny» (Warszawa) — dawniej »Prasa Polska«, obecnie »Nowoczesna Spółka Wydawnicza«. Ongiś bardzo popularne, obecnie deficytowe. Dział sportowy słaby i szczupły. Od czasu do czasu W. Trojanowski coś napisze, »złapie« temat. Stosunek do PUWF — na ogół nieprzychylny, gdyż redakcja dba tylko o sensację, której PUWF nie dostarcza.

»Dobry Wieczór« i »Kurier Czerwony« (Warszawa) — to samo co »Express Poranny«, najbardziej dochodowe pismo »Nowoczesnej Spółki Wydawniczej«. Redaktorem działu sportowego jest Jan Erdman. Kierunek — czysta sensacja. Czasem bardzo szkodliwa. Stosunek do PUWF bardzo nieprzychylny. Nie umieszcza jednak artykułów »silących się« na powagę, i tym jest szersze od »Expressu Porannego«”.

W innym dokumencie, także z 1936 r., pisano o Erdmanie wprost: „Typowy dziennikarz »rewolwerowy«, polujący wyłącznie na sensację pod każdą postacią.

Jego kandydatura do nagrody dziennikarskiej PUWF i PW wystawiona przez Zarząd Główny Związku Dziennikarzy świadczy albo o jakimś nieporozumieniu, albo też o uległości zarządu Związku wobec »prasy rewolwerowej«, która może być »groźna«.

Utrzymuje się wyłącznie z dziennikarstwa, lecz nie tylko sportowego.

Jako dziennikarz inteligentny, lecz do gruntu zepsuty i zesnobizowany”.

Oczywiście, z taką „opinią” Erdman nie mógł się zakwalifikować nawet do

grona kandydatów do Nagrody Dziennikarskiej PUWF i PW, która była najwyższym wyróżnieniem dla dziennikarzy sportowych w Polsce międzywojennej (2000 zł i wyjazd za granicę). Z sześciu kandydatów (Kazimiera Muszałówna, Włodzimierz Długoszewski, Jerzy Grabowski, Stanisław Faecher, Jarosław Nieciecki, Rudolf Wacek) zwyciężył lwowianin R. Wacek.

Kiedy po czterdziestu pięciu latach od tamtych wydarzeń przesłałem Erdmanowi powyższe wyciągi z akt archiwalnych, napisał mi: „Z satysfakcją przeczytałem, co myśleli o mnie biurokraci sportowi: jest w tym potępieniu i lęk, i podziw. Nigdy nie zwracałem się o żadne subsydia, nigdy nie wieszałem się na ich kłance, lekceważyłem ich do tego stopnia, że nawet niezbyt często z nich drwiłem”.

Zarząd Główny Związku Dziennikarzy Sportowych RP zupełnie inaczej ocenił zarówno fachowe umiejętności, jak i wkład Jana Erdmana w dzieło popularyzacji kultury fizycznej w Polsce. I dlatego powstała myśl, aby równoległe z Nagrodą Dziennikarską PUWF i PW wprowadzić od 1938 r. specjalną nagrodę „Złotego Pióra”, którą fundować będzie co roku organizacja dziennikarska. Powołano specjalne jury, które w czerwcu tegoż roku przyznało ją po raz pierwszy „królowi reporterów”. Na dogodny moment jej wręczenia czekano prawie sześć miesięcy (laureat krążył po świecie).

5 grudnia 1938 r. „Przegląd Sportowy” pisał m.in.:

„Po akcie oficjalnym wręczenia dyplomu i nagrody (w postaci wiecznego pióra z odpowiednią dedykacją wrytą na ręczce) podejmowano red. Jana Erdmana koleżeńską wieczerzą. Udział w niej wzięli członkowie Komisji Nadawczej Zarządu Głównego, zarządu oddziału warszawskiego oraz najbliżsi koledzy laureata z działów sportowych »Domu Prasy« i naturalnie redakcji »Przeglądu Sportowego«.

Naturalnie, gdyż pochlebiamy sobie, że właśnie »Przegląd Sportowy« był terenem, na którym najbardziej wyraziście zabłysły wszystkie dobrze znane czytelnikom walory talentu red. Jana Erdmana. Walory, które skłoniły Komisję Nadawczą do jednomyślnej decyzji przyznania pierwszej nagrody »Złotego Pióra« naszemu wybitnemu i drogiemu koledze”.

Nie można się dziwić, że otrzymane w takich warunkach i okolicznościach dziennikarskie trofeum tak bardzo sobie cenił Jan Erdman. I że tak bardzo bolał, iż zgubił je na szlaku bojowym pod Tobrukiem.

Po blisko pięćdziesięciu latach ten sam „Przegląd Sportowy” z 8 października 1986 r., zamieszczając na pierwszej stronie artykuł pt. *Jan Erdman nie żyje*, pisał m.in.:

„Chcieliśmy Mu »Złote Pióro« wręczyć raz jeszcze, podczas pobytu w Warszawie, który miał niebawem nastąpić. Tak się umówiliśmy podczas majowej z Nim rozmowy. Powiedział wtedy: »Odnowić znajomość z 'Przeglądem Sportowym' to było bardzo przyjemne, bardzo. Miło mi będzie państwa poznać. Jest między nami różnica pokolenia—dwóch, ale coś nas przecież łączy«.

Jakże nam przykro, że do spotkania, po którym tak wiele sobie obiecywaliśmy, nie dojdzie już nigdy”.

O nagłej śmierci Jana Erdmana pisała (w językach angielskim i francuskim) prasa amerykańska i kanadyjska, emigracyjna prasa polska w Nowym Jorku i Londynie oraz, rzecz jasna, prasa w kraju. Wszyscy z jednakowym bólem i żalem żegnali jednego z najwybitniejszych dziennikarzy pokolenia Polski międzywojennej.

W pośmiertnych wspomnieniach znalazłem jeszcze kilka nowych elementów, które sylwetkę i dokonania tego dziennikarza czynią bardziej wyrazistymi, nadają im nowych barw i wymiarów. Wiadomości te i impresje pochodzą od redakcyjnych kolegów Erdmana: najmłodszego — Jerzego Jabrzemskiego i najstarszego — Wojciecha Trojanowskiego.

Jerzy Jabrzemski wspominał:

„Był wrzesień 1937 roku, kiedy rozpocząłem swoją pierwszą etatową pracę w dziennikarstwie, w redakcji »Przeglądu Sportowego«. Mieściła się ona na trzecim piętrze »Domu Prasy«, przy ulicy Marszałkowskiej 3 w Warszawie.

Warto przypomnieć, w jakich warunkach redagowano wówczas największe polskie czasopismo sportowe. Na całą redakcję »PS« przeznaczone były... trzy pokoje. W pierwszym gabinet naczelnego — Mariana Strzeleckiego. Obok, w najmniejszym pokoiku, urzędował sekretarz redakcji Maurycy Lipszyc; i ja tam znalazłem wtedy miejsce pracy przy mniejszym biurku, a w 1938 roku, wskutek fali zmian personalnych w całym wydawnictwie »Domu Prasy«, awansowałem na miejsce Lipszyca, na stanowisko sekretarza redakcji.

Wreszcie trzeci, największy pokój zajmowali: Narcyz Suessermann (Tadeusz Maliszewski), Stanisław Rothert, a przy trzecim, malutkim biurku z trudem mieściła się olbrzymia, przygarbiona zawsze postać już wówczas »króla reporterów«, Jana Erdmana.

[...] Gdy przyszedłem do pracy w »PS«, Erdmana nie było w Warszawie. We wrześniu 1937 roku wyjechał jako specjalny wysłannik »PS« do Kopenhagi na kolarskie mistrzostwa świata, a potem do Budapesztu na szosowy wyścig Dookoła Węgier. Poznałem go więc dopiero w początkach października. Jak dziś pamiętam, gdy wpadł do mojego pokoju potężny dryblas (miał ok. 190 cm wzrostu) o zmierzwionej blond czuprynie, w wielkich okularach, i po prostu oświadczył:

— Jestem Erdman. Witam młodego kolegę. Dotychczas ja byłem najmłodszym w redakcji, no, ale co to jest moich 31 lat wobec niecałych 20 pana. Witam! Witam! I życzyć powodzenia w pracy dziennikarskiej.

Powiedział to szybko i znikł. A ja byłem, przyznam się, trochę oszołomiony powitaniem »króla reporterów«, ale także zaskoczony, gdyż niewiele od razu zrozumiałem. Erdman mówił bowiem bardzo niewyraźnie. Przede wszystkim dominowało jego słynne »r«, podobne raczej do »ł«, słowa wypowiedane były bardzo szybko i jak to się mówiło — »jak gdyby miał kluski w gębie« (może dlatego doskonale mówił po angielsku...).

Przypominam sobie na ten temat kawały, jakie robił mu Miecio Aleksandrowicz z »Kuriera«. Ponieważ potrafił doskonale naśladować głos Erdmana, telefonował do Mariana Strzeleckiego ze swojego pokoju w ten mniej więcej sposób:

— Panie Małjanie! Tłum, bum, tłum, blum, blum, ułłam, bum, bum — i kładł słuchawkę.

Za chwilę do pokoju Rotherta wpadał Strzelecki.

— Słuchajcie! Niesłychane! Przed chwilą telefonował do mnie Jan. Nie mogłem nic zrozumieć z tego, co mi tłumaczył. Niesamowite bredzenie...

Gdy wkrótce w redakcji zjawił się Erdman, zawiadomiono go, że szef chce z nim mówić, ale niech uważa, bo Strzelecki jest w złym humorze i najlepiej tylko mu potakiwać...

Po chwili Erdman wrócił do nas:

— Nie wiem, o co szefowi chodziło, zbeształ mnie za jakiś telefon, co to za sprawa?

»Mietuchna« Aleksandrowicz jeszcze ze dwa razy powtórzył swój kawał, gdy wreszcie Strzelecki przyłapał na mistyfikacji.

Erdman był ulubieńcem naczelnego. Strzelecki nazywał go »Wielkim Janem« albo po prostu Janem. Jemu jednemu pozwalał pisać artykuły ręcznie, zresztą bardzo wyraźnym pismem o długich literach. Sam Strzelecki również ręcznie pisywał materiały (kaligraficznym prawie pismem), lecz reszcie współpracowników kazał się uczyć pisania na maszynie. W redakcji nie było przecież żadnej maszynistki. A linotypiści drukarni zgadzali się odczytywać wyłącznie rękopisy Strzeleckiego i »króla reporterów«.

Pod urokiem talentu Erdmana byłem oczywiście o wiele dawnej, nim zacząłem pracę w »PS«. Szczególnie zachwyciła jego obsługa Igrzysk Olimpijskich w Los Angeles w 1932 roku. Erdman wyruszył do Ameryki razem z ekipą olimpijską na pokładzie M/S »Pułaski« przez Atlantyk i początkowo nadsyłał do redakcji krótkie, dosłownie kilkudzaniowe meldunki przez radio »Pułaskiego« za pośrednictwem Radia Gdynia. Później, już ze stadionów olimpijskich, napływały listowne relacje poprzez Nowy Jork, gdzie korespondent »PS« wybierał najbliższy i najszybszy statek do Europy i wysyłał nim list Erdmana. Wszystko to trwało niesłychanie długo, a trzeba pamiętać, że w owym czasie »PS« ukazywał się tylko dwa razy w tygodniu — w środę i sobotę (*sic!*).

W »PS« korespondencje Erdmana otrzymywały sząniste tytuły pod wspólnym nadtytułem *Notatki i wrażenia Jana Erdmana, obserwatora batalii 49 narodów w Los Angeles*, tytuły jak np.: *Spisek przeciw Kusocińskiemu* (to o »rewelacjach« prasy niemieckiej i fińskiej na temat rzekomego zawodowstwa »Kusego«), *Wiwat szbla polska* czy inne.

W 1937 roku Erdman był już »u szczytu sławy«. Specjalizował się w kolarstwie, ale pisywał również o innych sportach. Do ulubionych zaczął zaliczać wtedy boks, pamiętam również jego migawki z meczu piłkarskiego Polska—Jugosławia 4:0 w Warszawie (»PS« ukazywał się wówczas dwukrotnie w tygodniu, ale w poniedziałki i czwartki, a więc informacje ze sportowych aren niedzielnych — już bardziej zaktualizowane).

[...] Talent dziennikarski »Wielkiego Jana« był w pełni doceniany także i przez władze wydawnictwa »Domu Prasy«. Toteż nierzadko wykorzystywano go i do politycznych reportaży.

[...] Pamiętam jeden rekord dziennikarski, w którym brał udział Erdman. Była to chyba jesień 1938 roku. Do Warszawy wracał garnizon stołeczny z okresowych manewrów. Prawdopodobnie z poligonu rembertowskiego oddziały wojska w mundurach polowych wkraczały do Warszawy od strony Pragi. Już na prawym brzegu Wisły dotarła do zielonych szeregów grupa reporterów popularnego, popołudniowego »Kuriera Czerwonego«, wzmocniona — jak w wielu akcjach specjalnych — Janem Erdmanem i Wojtkiem Trojanowskim. Naprędce, wykorzystując krótkie postoje zmęczonych żołnierzy, robiono wywiady, migawki, rozmówki, a samochody redakcyjne przewoziły dziennikarzy z ich materiałami pisanymi błyskawicznie do gmachu przy ul. Marszałkowskiej. Kiedy czoło kolumny wojska poprzez most Kierbedzia i wiadukt Pancera wkroczyło na plac Zamkowy, fotoreporter »Kuriera« wykonał ostatnie zdjęcie i także pognął samochodem do redakcji.

Wojsko udało się na plac Józefa Piłsudskiego, tam prawie z marszu odbyło defiladę przed generalicją zgromadzoną koło Grobu Nieznanego Żołnierza i przed pomnikiem księcia Józefa Poniatowskiego, a kiedy z placu wychodziło na ulicę Mazowiecką, na czoło kolumny podjechał samochód »Kuriera«. Wręczono zdumionemu oficerowi prowadzącemu na koniu pierwszy oddział..., gotowy już, pachnący świeżą farbą drukarską egzemplarz popołudniówki, w którym na pierwszej stronie widniało zdjęcie tegoż oficera na koniu wykonane niedawno na placu Zamkowym”.

Był to jeszcze jeden „dziennikarski rekord” z udziałem Jana Erdmana.

Drugie pośmiertne wspomnienie o „królu reporterów” napisał na łamach londyńskiego „Dziennika Polskiego” jego najstarszy i najwierniejszy druh Wojciech Trojanowski

„Jan był dziwakiem — pisał w „podzwonnym dla przyjaciela” najlepszy w okresie międzywojennym sprawozdawca radiowy i dziennikarz „Domu Prasy”. — Pracował i prosperował głównie w nocy i przez zimowe tygodnie rzadko kiedy oglądał światło dzienne. Był okres, kiedy odżywiał się wyłącznie kiełbasą z tak zwanej »maszyny« w którymś z warszawskich barów, a gdy kiełbasa wreszcie mu się znudziła, zastosował inną »dieta«, jedząc tylko chałwę, aż się wreszcie rozchorował.

Przyszła wojna i Jan, który w wojsku nigdy nie był, uprosił mnie, żebym go przyjął do mojej przeciwlotniczej baterii Boforsów. Dostaliśmy się do niewoli — mnie Niemcy przymknęli, a jego jako szeregowca wypuścili. Przesiedział trochę w Warszawie, a potem przez góry, lasy i obce sobie kraje dotarł do naszych wojsk na Bliskim Wschodzie. Znalazł się w Tobruku i tam, na ochotnika biorąc udział w nocnych wypadach, dosłużył się Krzyża Virtuti Militari.

Z wojaczki pojechał do Stanów. Tu poznał i wkrótce się ożenił z Martą »Tirliporkiem« Wańkowiczówną (córka Melchiora), kobietą o wybitnej inteligencji, dużym talencie literackim i wspaniałym charakterze. Oczekał się dwóch rozkosznych córek [Anna i Ewa — B.T.], a później z całą rodziną, już w ekipie radia »Głosu Ameryki«, zawitał do Monachium, gdzie nasza przyjaźń odżyła. Po pewnym czasie powrócił do Ameryki, już jako szef polskiej sekcji »Głosu Ameryki«. Później objął posadę naczelnego redaktora pisma »Ameryka«.

Nadeszła emerytura. Jan wydał obie córki za mąż, a sam razem z »Tirliporkiem« zmęczony burzliwym życiem zatęsknił za samotnością i osiedlił się w małej wiosce amerykańskiej na pół drogi z Nowego Jorku do Kanady. Nagle odkrył w sobie zdolności stolarskie i starą rudere znakomicie wyremontował. Tak sobie razem żyli, aż wreszcie palnął rak; wpięrow w Jana, z czego się w niepojęty sposób wyleczył, a później w Martę, która po dwóch latach cierpień w końcu zmarła. Jan nie chciał obciążać swoją osobą córek, które go chciały przyjąć do siebie. Na tym pięknym, ale przerażającym odludziu został sam.

Żeby jakoś wypełnić samotność, ze zdwojoną energią wziął się za opracowanie historii szwagra, wielkiego bohatera Armii Krajowej — Macieja Kalenkiewicza. Szukał źródeł i świadków tego człowieka w Stanach, w Londynie i w Polsce. Wreszcie wydał tę książkę *Droga do Ostrej Bramy*, za którą w Londynie dostał nagrodę [...]

W międzyczasie Jan ożenił się z panią, która zgodziła się zostać jego towarzyszką na ostatnie lata życia [Krystyna Ursyn-Niemcewicz Fudakowska — B.T.]. Pobrali się niespełna rok temu. Jan pisał do mnie, że zjawi się w Londynie przejazdem do Polski. To miało być w październiku, ale dostaję nowy list, w którym Jan donosi, że żona rozchorowała się ciężko na artretyzm i po skomplikowanej operacji już o własnych siłach nie może się poruszać. Wyjazd do Polski, upragniony, wymarzony, trzeba odłożyć... na zawsze. W tym ostatnim liście Jana można odczytać rozpaczliwą beznadziejność. I oto 5 października, w niedzielę, Jan zostawia dwa króciutkie listy — do żony i do córek. Napisał tylko tyle, że w dalszym życiu nie widzi już żadnego sensu i że odnaleźć go można w lesie, tuż za domem. No i tam go znaleźli z kulą w głowie”.

Nie udało mi się ustalić, co było bezpośrednią przyczyną samobójczej śmierci blisko osiemdziesięcioletniego „króla reporterów”, na którego przyjazd czekałem w październiku roku 1986 w Warszawie. I nigdy zapewne już się nie dowiem, dlaczego do stolicy nie dotarł mój najlepszy „doradca” w badaniu dziejów naszego dziennikarstwa sportowego w Drugiej Rzeczypospolitej.

Źródła i opracowania: J. Erdman, *Opowiadanie prawdziwe*, „Kwartalnik Historii Prasy Polskiej”, 1981, nr 2, s. 81—86; tenże, *Droga do Ostrej Bramy*, Londyn 1984; tegoż korespondencja z autorem w latach 1972—1986 (53 listy w zbiorach prywatnych autora); Oceny pism i dziennikarzy sportowych, Centralne Archiwum Wojskowe, PUWF i PW, sygn. 300.69.33; Nekrologi: „The Record” (Sherbrooke, Kanada) z 15 X 1986, „La Tribune” (Sherbrooke, Kanada) z 8 X 1986; J. Jabrzemski, *Wielki Jan*, „Przegląd Sportowy”, 1986, nr 199; *Jan Erdman nie żyje*, tamże, nr 195; *Jan Erdman*, „The Daily Star” (Nowy Jork) z 9 X 1986; S. Mielech, *Sportowe sprawy i sprawki*, Warszawa 1963, s. 153—154 i 179—180;

Na marginesie (życiorys J. Erdmana), „Ameryka” (Waszyngton), 1972, nr 163; *Zmarł Jan Erdman*, „Nowy Dziennik” (Nowy Jork) z 8 X 1986; K. Zorski, *Middlefied—Warszawa. Jan Erdman znów w „PS”*. *To był ogień*, „Przegląd Sportowy”, 1986, nr 102; W. Trojanowski, *Podzwonne dla przyjaciela. Dziennikarz Jan Erdman*, „Dziennik Polski” (Londyn) z 6 XI 1986; B. Tuszyński, *Sprintem przez prasę sportową*, Warszawa 1975, s. 163—169; tenże, *Prasa i sport*, Warszawa 1981, s. 125—139; tenże, *100 lat WTC. 100 lat kolarstwa polskiego*, Warszawa 1986, s. 126, 134, 146, 154; tenże, *Od Dynasów do Szurkowskiego*, Warszawa 1986, s. 168, 180, 183, 209; *Wielka przygoda redaktora Jana*, „Przegląd Sportowy”, 1945, nr 4; *Zmarł Antoni Lewandowski, przyjaciel i propagator polskiego piśmiennictwa sportowego*, tamże, 1946, nr 41.